

665

Usiadła na piętach w rogu małżeńskiego łoża z ciężkim westchnieniem. Sprowokowała jeszcze raz pytanie, czy to prawda, że nie lubi udzielać wywiadów. Skwapliwie przytaknęła, dodając jednak, że rozumie tę smutną konieczność przypisaną do jej zawodu. Czy w ogóle z ludźmi nie lubi rozmawiać? Ależ skąd! Lubi. Cieszą nawet zupełnie przypadkowe spotkania. W sklepie, na skwerku. Mimo że na ogół pytania są bardzo osobiste. Ile zarabia, ile ma dzieci, co akurat robi?

I na wszystkie Pani odpowiada?

— To zależy, czy pytający wzbudza moją sympatię, czy nie. Ale staram się. Wiem, że jest niedosyt informacji, że plotka wypełnia luki. Więc mam nawet pewien szacunek dla tych, którzy pytają. Znaczący — nie podają się plotce.

Skąd niechęć do wywiadów?

— Bo nie lubię mówić o planach. Zeby nie zapeszyć. Poza tym to trochę dziwne uczucie — tak malować swój wizerunek publicznie. Potem ma się chyba obowiązek życia zgodnie z tymi wytycznymi? I każdy następny wywiadujący ma obowiązek sprawdzania, czy coś się od ostatniego wywiadu zmieniło.

Właśnie. Porównała Pani niedawno aktorstwo z kamieniarstwem. Chodzi o ten sam mózół, z którym wykuwana jest rola?

— Nie. Myślałam o efektach. I jedno, i drugie jest tak samo nieefektywne, powiedziałabym — niezauważalne.

Niemożliwe! Jesteście przecież smani, uwielbiani...

— To wszystko pozór. Blichtr. Efekty naszej pracy mijają wraz z czasem, trwają sekunde, minutę, godzinę. Czasem ktoś rzuci okiem jak na pomnik stojący na skwerku, i nawet nie zauważy. Ktoś inny patrząc, wzruszy ramionami.

To już nie rozumiem, dlaczego Pani wybrała ten zawód...

— Książki zbójcekle wszystkim winne. Naczytałam się o teatrze przedwojennym, ogwiaz-

— Tak, ale nie miałam szczęścia do tego rodzaju ról ani w teatrze, ani w filmie. Pewnie tak naprawdę na ten typ sztuki po prostu nie ma zapotrzebowania, muszę więc chyba poddać gruntownej rewizji swoje sady.

I już nie przesładuje Pani żadna idea fixe?

— To się przecież zmienia; w różnych okresach życia ma się

— Ale tylko trochę. To naprawdę jest zawód zmuszający do ciągłego porównywania się z innymi. Udowadniania, że jest się dobrym, coraz lepszym. Ze sobą porównuje się i to, i tamto. Ze się człowiek ciągle rozwija. W ten zawód jest wkalkulowana kokietowanie innych. Takie trochę dwuznaczne. Niepoważne. Bo choćby film weźmy. Zjeżdża sobie taka ekipa, instaluje w środku miasta, przytwierdza sztuczne tabliczki, stwarza fałszywe realia. Poprzebierani, uszminkowani ludzie coś tam udają. I tylko terkocząca kamera jest ich wstępny alibi. Ale ona też jest wyłączana. Zawsze zresztą śmiechność swojej sytuacji odczuwam najbardziej w czasie przerwy, kiedy siedzi się gdzieś na skwerku w białych pończochach i czuje na sobie wzrok pracującego ciężko człowieka, np. koszącego akurat obok trawę...

I pomyśleć, że za Pani atut uważa się naturalność, szczególnie w filmie. Bo w teatrze jest Pani dla mnie typem tragiczki, niemal klasycznej.

— Scena wymusza zachowanie. Kiedy czuje się tę przestrzeń przed sobą, widzi publiczność wyczekującą, włączają się w człowieka pewne automaty, bym powiedziała — warsztat. Scena wyzwala pewien patos. Przynajmniej we mnie. Może jest to konsekwencja strachu, który czuje za każdym razem.

Boi się Pani kolegów czy publiczności?

— Głównie publiczności. I raczej powinienam powiedzieć — wstydę się. Okropnie. Ale i kolegom chyba też. Mam w teatrze opinię osoby kłopotliwej. Kiedyś twierdzą, że się ukrywam, maskuję. Niemal do końca prób nie wiedzą, kto tak naprawdę będzie ich partnerem. Ten wstyd przed wygięciem się sprawia, że dopiero na parę dni przed premierą zaczynam zachowywać się tak, jak podczas przedstawienia z publicznością.

A grając dziesiątki razy to samo, nie nudzi się Pani?

— Oj, nudzę się, nudzę, choć



Z JADWIGĄ JANKOWSKĄ-CIEŚLAK

— rozmawia Janina Koźbiel

dach. Wydawało mi się fascynujące to życie. Wczytałam, że ma związek tylko z tym, co piękne, co jest sztuką, przygodą. Myślałam, że wszystko przetrwało do dziś. Ale nie, nie żałuję. Niech panj zapyta, czy gdybym jeszcze raz wybierała zawód... odpowiem, że zostałabym aktorką.

A kim się Pani w dawnych czasach zachwycała szczególnie? I kim dziś?

— O, wiele było zachwyków. Ale raczej typowe. Oczywiście Marylin Monroe, Gary Cooper. A dziś? Fascynuje mnie cała amerykańska czołówka od Jacka Nicholsona i Dustina Hoffmana poczynając.

A w Polsce?

— Oj nie, tu już nie. Zajrzałam za kulisy, zobaczyłam codziennosc, a do prawdziwego uwielbienia człowieka jest zdolny tylko wtedy, gdy patrzy z daleka. Kolegów mogę jedynie szanować, cenić. Mam też świadomość, że w pewien sposób zostałam rozpuszczona — miałam szczęście pracować w bardzo dobrym zespole, wśród prawdziwych tuzów.

Porozmawiajmy zatem o Pani ostatnich rolach w Teatrze Dramatycznym. Lubi Pani Judytę z „Księdza Marka”?

— O, bardzo!

Dlaczego?

— Pierwszy raz miałam okazję zmierzyć się z wierszem na scenie. I wydaje mi się, że coś się udało.

A nie nauczyła się Pani tego w szkole?

— Zawsze wydawało mi się, że zachowanie natury wiersza jest zbędne. Że tylko sens się liczy. Rola Judyty wybiła mi to błędne przekonanie z głowy.

Jak to się stało, że w „Koriolanie” odebrała Pani Zonie niemal zupełnie głos?

— Byliśmy zgodni z reżyserem, że tekst właściwie nic nie wnosi, nie znaczy. Ani dla wymowy utworu, ani dla partnerów. Więc nie wdrażaliśmy się przed skrótami. Zostawało coraz mniej. W końcu został tylko okrzyk: „mój panie i mężu”. Ale lubię tę rolę. Nie męczy, a daje dużo uciechy, bo w końcu jest przecież postacią skończoną. No i jestem na scenie, mogę sobie obserwować publiczność, kolegów przy pracy. O właśnie, to jest jedna z przyciągających cech tego zawodu — istnieć można nie tylko przez to, co się mówi i kim się jest. To prawda, że tylko przez chwilę...

Przyjęła Pani tę rolę po powrocie z Węgier, po ciężkiej pracy nad filmem „Inne spojrzenie”, który przyniósł potem „Złotą Palmę”. Nie buntowała się Pani przeciw roli dla gwiazdy?

— Głównie dlatego ją przyjąłam. Kaprysy — nawet uzasadnione — obróciłyby się przeciw

mnie. Jeszcze zabawniej było, kiedy wróciłam z Cannes ze „Złotą Palmą”. Zartowaliśmy, że ja powinnam zagrać Koriolanę, a Zbyszek Zapasiewicz — Zonę.

A które z przedstawień wspomina Pani niechętnie?

— „Medea” na małej scenie, ale pozwól pani, że nie będę rozwijała odpowiedzi.

Lubi Pani swój teatr?

— Lubiłam — tak muszę powiedzieć, bo przecież wiele, niezależnie od nas, zmieniło się w ciągu paru miesięcy.

Ale zostaje Pani w Dramatycznym?

— Zostaję. Umowę podpisałam do przyszłego roku.

Jest Pani zadowolona ze swoich ról teatralnych?

— Takiego znów wielkiego szczęścia nie miałam. Chyba nie trafiłam na reżysera, który by się mną naprawdę zainteresował, choć, obiektywnie patrząc, nie mogę narzekać. To, co było dla mnie do zagrania, pozwolono mi zagrać. Może z wyjątkiem jednej roli, o której marzyłam.

Której, zdradzi Pani?

— Iwony, księżniczki Burgunda.

Domagała się Pani gratulacji?

— Nie, skąd! Tak tylko sobie, po cichutku, marzyłam. Wydawało mi się, że jestem do niej stworzona. Ale było, minęło. Dziś oczywiście bym już takiej propozycji nie przyjęła. Za stara jestem.

Czy są jeszcze jakieś role, o których Pani marzy?

— Dziś już nie, przekonałam się, że nie, warto, burzy to tylko spokój wewnętrzny, ale kiedyś były. Marzyło mi się np. zagranie Witkacowskiej Matki. Grałam ją w dyplomie i potem chciałam spróbować w pełnym uteatralizowaniu. I też teraz już bym nie było zainteresowana.

Dlaczego?

— Wydawała mi się fascynująca próba zmierzenia się młodej dziewczyny z uczuciami matczyńskimi, z całym tym bagażem miłości, lęku, próżności i przywiązania widzianym przez Witkacego na swój sposób, trochę w krzywym zwierciadle. Dziś mam własne doświadczenia, dzieci, męża, dziś — mówiąc najprościej — leży to w zasięgu moich możliwości i dlatego mniej mnie obchodzi w teatrze. Bo prawdziwie pasjonujące jest dla aktora jedynie to, co pozornie nieosiągalne. Wtedy zaczyna się autentyczna przygoda, zmaganie się z oporną materią, konieczność łamania przyzwyczajeń, przekraczania własnych ograniczeń.

Wyznała Pani kiedyś, że widzenie świata w krzywym zwierciadle interesuje Panią szczególnie, w przeciwieństwie do prostego kopiowania rzeczywistości.

różne fascynacje. Ale muszę przyznać, że rzeczywistość tych idei fixe miewam coraz mniej. Uspokajam się. I spokój zaczynać cenę najwyższą.

To brzmi prawie jak w telewizji...

— Myślę o takim moim prywatnym spokoju. Psychicznym. No i o rodzinie.

To przecież zawsze musiało być ważne dla Pani. Dwoje dużych dzieci i mąż najlepszym tego potwierdzeniem. Jak to się udało? Nie było wątpliwości — rodzina czy kariera?

— No, przyznam się, niech będzie. Miałam chwile opętania i ja. Ale szybko mijaly. Zosię w końcu urodziłam jeszcze na studiach. Jest już duża, już patrzy krytycznie, kiedy się mama wygłupia, przebrana. Nawet trochę przeszkadza mi różnica wieku między nią a Jakubem (Jakub wbiega właśnie do pokoju z listewką wykradzoną tatusiowi). I skłonna już jestem się poddać, choć zawsze marzyłam o chworce dzieciaków. Zdobywanie jedzenia, ubrania jest w stanie stopić największy entuzjazm. Co prawda Jakub ma bardzo dobry żłobek, ale luksus kończy się niestety wraz z sierpniem.

Mąż i teraz uparcie ma sterkuje. Czy i Pani potrafi, wie, którym końcem wbiła się gwóźdź w ścianę?

— O, tak — muszę. Urządzałam się samą. I... chyba tylko murować jeszcze nie potrafię.

Piotr Cieślak jest reżyserem. Często korzystnie wpływa na rozwój żon aktorów taka mężowska profesja. Zony rozkwitają, grają główne role, zulaszcza w sztukach reżyserowanych przez mężów. To rozumiałe, w końcu aktor nie może stanąć obok i spojrzeć na efekt swojej pracy, a nie do wszystkich oceniaczy może mieć zaufanie.

— Nie mieliśmy takich możliwości, ale nie żałujemy. Myślę, że raczej powinniśmy zazdrościć sobie układu — zaangażowani jesteśmy w bardzo dobrych, ale różnych teatrach, a współpracować możemy w domu.

Ważne są dla Pani opinie męża?

— Jest największym autorytetem. Jeśli powie: jest dobrze, jestem spokojna.

A „Złota Palma” nie przewróciła Pani w głowie, nie zmieniła się Pani pod wpływem tej nagrody?

— Uspokoiłam się. Widzi pani — powiesiłam sobie dyplom nad łóżkiem i w chwilach wątpliwości czerpię z niego otuchę. Patrzę — wiś! Oprawiony w ramki. To mówię sobie — już nie musisz, możesz zająć się spokojnie gotowaniem, sydekowaniem albo salifowaniem angielskiego.

Trochę Pani żartuje?

zdarza mi się troszeczkę zmieniać rolę.

Ku zadowoleniu partnerów?

— Nie zawsze. I reżyserzy, jeśli zaglądają po przygotowaniu przedstawienia do teatru, też nie zawsze aprobują zmiany.

Jest to działanie wbrew zasadom profesjonalizmu, wokół którego ostatnio robi się trochę niedobrą atmosferę?

— To denerwujące. Bo chyba żaden z aktorów zawodowych głoszących pochwałę profesjonalizmu — jak ja — nie chce go przeciwstawić twórczej fantazji czy nawet improwizacji. Jest w tym raczej potępienie dla złej roboty, niefachowości, sytuacji, w których zbierają się ludzie na próby, opowiadają sobie anegdotki, wysłuchują dowcipów reżysera, a potem muszą stanąć twarzą w twarz z publicznością. Nie do końca nawet wiedząc, czego się od nich oczekuje. Dlatego tak cenię sobie pracę z Karoly Makkiem, dla którego efekt ostateczny był najważniejszy.

Jak Pani buduje swoje role. Na podstawie literatury i własnych wyobrażeń czy podglądając życie?

— Nie potrafię podglądać. To znaczy — chyba dużo widzę i rozumiem, ale nie potrafię tego wykorzystać przy budowaniu roli. Nie potrafię przelotoczyć się zupełnie, jak np. Łomnicki, którego uważam za jednego z najlepszych wybitniejszych aktorów. I teraz to już sobie nawet myślę, że ten sposób budowania postaci wcale mnie nie interesuje. Zawsze jest tak z człowiekiem, że jak czegoś nie może osiągnąć czy nie potrafi, to dla luksusu psychologicznego wymyślić sobie musi motywację. Widzi więc pani, jak dobrze mieć powieszony nad łóżkiem zagraniczny dyplom?

A o „Oskarze” Pani nie marzy?

— Trudno. Nie znajduję w sobie odpowiednich sił psychicznych, co może nie jest dobre. Ale nie tylko ja jestem chyba w straszliwej depresji. Wielu ludzi z branży, i w ogóle zajmujących się kulturą — także. Czujemy się wszyscy trochę tak, jakby wyrosła przed nami jakaś ściana, jakiś mur nie do przebycia. Dotarliśmy do tej ściany i stop. Ani kroku dalej. Codziennie pogrzebiam się myślą, że tak naprawdę moja praca jest zbędna, a już na pewno nikt jej nie pragnie, nie wiąże z nią żadnych nadziei na przetrwanie czegoś ciekawego.

A co z Pani wręczowym optymizmem?

— Może trochę przesadziłam, w końcu gdybym była na dnie całkowitym, powinnam odejść z zawodu. Widać mam jakąś małą nadzieję, że optymizm wróci.

Życzę tego Pani i sobie. I dziękuję za rozmowę.